

„KRONIKA TYGODNIA - Magazyn Zamojski”, 26 kwietnia 1994 r.

CZAS NARODZIN

Poród to najbardziej dramatyczne wydarzenie w życiu człowieka. Matka i dziecko występują tu jako dwa odrębne podmioty. Ich interesy bywają różne. Matka pragnie przede wszystkim, jak najbezpieczniej i jak najszybciej urodzić. Dziecko z kolei, nie tylko chce bezpiecznie się urodzić, ale i o dokładnie, astrologicznie oznaczonym czasie. Podświadomość matki i dziecka, na nieuświadamianym, rzecz jasna, poziomie, w swoistym języku, przez cały czas prowadzą ze sobą dialog.

Cofnięci w czasie medialni pacjenci, podczas medytacji, uzewnętrzniają ukryte w głębi pamięci przeżycia. Zapraszam do prześledzenia jednej z takich relacji: „Matka jest już przygotowana do porodu, chce, aby już on się rozpoczął. Ja też jestem gotów, ale czekam na jakiś sygnał. To ja, a nie matka, mam podjąć decyzję o czasie porodu.

- Godz. 21.00 - zaczął się czas odliczania, czekam.

- Godz. 23.15 - mówię do matki „mamo, bądź przygotowana do wypełnienia swojego obowiązku”.

- Godz. 23.30 - unoszę głowę i kieruję ją w kierunku, skąd ma nadejść sygnał. - Godz. 23.50 - w gwiazdozbiorze Ryb pojawia się czerwona planeta - Mars.

Razi mnie ta czerwień, narzuca siebie, krępuje mnie. Matka nalega, chce już rodzić, zaczynają się poważne komplikacje. Zwlekam. Mars w tej postaci nie tylko zdominuje moją osobowość, ale i przyniesie mi przedwczesną śmierć. Matka nic o tym nie wie, nie chce słuchać moich poleceń, boi się o nasze życie. Gdybym zgodził się na przyspieszony poród, lub gdyby rozwiązanie nastąpiło cesarskim cięciem, wówczas zginąłbym w siódmym roku życia od uderzenia mnie deską w głowę przez bawiącą się ze mną dziewczynkę. Takie zdarzenie miało miejsce. Leżałem w szpitalu. Widzę dokładnie ten mający nastąpić za 7 lat wypadek. Wiem, że bym go nie przeżył, więc z całej mocy opieram się przed porodem w czasie tej złowrogiej dominacji Marsa. Tłumaczę matce, że to jest moje życie, i że chcę żyć do końca.

- Godz. 0.05 - matka prze, ja się zapieram. Czerwień Marsa traci na blasku. Pojawia się pięknie świecąca Wenus - oznaka pomyślności, szczęścia, miłości i braterstwa. Chciałbym urodzić się o godz. 1.30, kiedy to Wenus będzie w całej swej okazałości, a Mars przejdzie z gwiazdozbioru Ryb do Barana i wówczas, zamiast destrukcji, da mi siłę i moc. Matka stanowczo protestuje, mówi, że oboje nie przeżyjemy tego czekania. Wzywa lekarza, zaczyna się szarpanie. Muszę iść na kompromis. Śmierć w dzieciństwie już mi nie grozi. Niestety, stracę szczęśliwą młodość, będę miał zniewolony umysł. To, co ma być w moim życiu złe, ma istnieć do przełomu, który nastąpi w lecie 1993 roku. Jest to wypisane na orbicie Wenus. Wyraźnie odczuwam, jak gwiazdy swoim promieniowaniem, swoją energetyczną emanacją zapisują we mnie mój los”.

Pacjent - kawaler, lat 37, prawnik, problemy z osobowością. Zgłosił się do mnie na terapię w lutym 1993 r. Znany astrolog opracował mu kosmogram, stąd jego pewne w tym kierunku przygotowanie. Był też u dwóch wróżek. Wszyscy oni zgodnie przepowiedzieli mu, mającą nastąpić w jego życiu, w połowie roku 1993, zmianę na lepsze. Z takim też nastawieniem przystąpił on do terapii, która musiała się udać. Wyboru

nie miałem. Tak też się stało. Pacjent zmienił pracę; uwolnił się od lęków, kompleksów, zahamowań; nastąpił u niego wyraźny rozwój osobowości. I jak tu gwiazdom i wróżkom nie wierzyć?

STANISŁAW KWASIK

Załącznik nr 1

Chciałabym opisać moje własne skojarzenia dotyczące mego życia, jakie nasunęły mi się, gdy przeczytałam ten artykuł, a także kilka innych, chciałabym ubrać wszystko w całość, która coraz bardziej nabiera sensu.

Urodziłam się 2 tygodnie po terminie. Relacje z moją mamą są różne, ale na pewno odczuwam w nich jakąś nić niezgody duchowej, mimo że bardzo kocham mamę i z reguły się dogadujemy. Co więcej, moim narodzinom towarzyszyło owinięcie pępowiną, co odczytane zostało jako próba samobójcza. Po narodzinach miałam poważne problemy zdrowotne, pół roku spędziłam w szpitalu, jedną nogą byłam na tamtym świecie. Ale udało się! Jestem dziś tutaj, a w dodatku mocno zdziwiona, że aż tak bardzo nie chciałam zmierzyć się ze światem i tym, co ma mi do zaproponowania. A przecież dzielnie daję sobie radę ze wszystkim i nigdy nie myślałam poważnie o samobójstwie, mimo że nie miałam łatwego życia (molestowanie seksualne, bicie, przewlekła choroba...).

W ogóle nie widać po mnie, dzięki Bogu, że od 7 lat (obecnie mam 25 lat) mam zdiagnozowane stwardnienie rozsiane, a każdy mój dzień to jest walka... Jakkolwiek dziwnie to nie zabrzmiałoby, to właśnie choroba ukształtowała mój charakter, moją osobowość, moje życie. Również od momentu diagnozy zaczął się mój powolny, stopniowy i samoistny rozwój duchowy. W tym miejscu chciałabym się odwołać do słów z innego artykułu - w kwestii rozwoju duchowego nie ma co przyspieszać na siłę, on sam znajdzie sposób, aby do nas dotrzeć i nas ukształtować,

nie warto też się zrażać, że to trwa latami, ba - powiem więcej - trwa to całe życie! I jest to cudowne uczucie! W trakcie mojej wędrówki spotykam na swojej drodze wspaniałe osoby, nie wiadomo jak i skąd, które wspierają mój rozwój duchowy, np. na stronę Pana Stanisława trafiłam przez zupełny „przypadek”, szukając informacji w ogóle nie związanych z rozwojem duchowym na forach! Korzystam też z pomocy zaufanego bioenergoterapeuty, w moje ręce trafiają książki, artykuły odnośnie "spraw wyższych", nie obca mi jest także medycyna naturalna, numerologia, załączki jasnowidzenia i inne - przez różne rzeczy już przechodziłam, ale wcale się nie zrażam tym, że te zainteresowania i umiejętności się ciągle zmieniają niezależnie ode mnie. Trochę to się kłóci z moją wiarą katolicką, były wyrzuty sumienia, ale czuję, że mnie KTOŚ sam prowadzi za rękę i zawsze podsuwa mi to, co dla mnie najlepsze, o czym już nieraz się przekonałam także w życiu codziennym.

Cieszę się, że nie udało mi się odejść z tego świata już przy narodzinach. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co mnie dalej czeka – po prostu wierzę, że wszystko ułoży się jak najlepiej i że sobie poradzę.

Ela

